Rok IV. Warszawa-Kraków, dnia 30. stycznia 1912. **№ 51.**

PRZEGLĄD KRYTYKI ARTYSTYCZNEJ I LITERACKIEJ

DWUTYGODNIK

Wychodzi w odstępach czasu 20-dniowych pod kierownictwem **Józefa z Rozprzy Krobickiego.**

ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: WARSZAWA, MARSZAŁKOWSKA 125.

PRENUMERATĘ w cenie 1 rb. kwartalnie przyjmują wszystkie księgarnie. Artyści, literaci i wogóle pracownicy na polu oświatowem—płacą połowę. Cena pojedyńczego numeru: 20 kop.

OGŁOSZENIA przyjmuje się z wyłączeniem pośrednictwa biur ogłoszeniowych i agentów.

Treść numeru:

ZYGMUNT LUBERTOWICZ.

Kazimierz Tetmajer — Twórca cyklu „Na Skalnem Podhalu“, jako epik Tatr.

(Ciąg dalszy).

I jeszcze jedna cecha dawnej i dzisiejszej duszy góralskiej—może najszczytniejsza. Ludzie i dusze, niby Anhelli, opętane tęsknotą do ziemi ojczystej i gór granitowych, jak np. ów starzec sędziwy z Leśnicy w piwnicach zamku pana rzeszowskiego, jak Gałajda w murach zamku hradczyńskiego, jak Tomek Wierchowiec z Zaskala z noweli „Żelazne Wrota“.

Bo oto jak tęskni ów stuletni starzec leśnicki:

„Cosi sie mi zbacowało... Słowa sie mi zbacowały i świat... Las — drzewa... Słońce—jasno... Woda—płynie, sumi... Dziewka—piekne, rumienne... Ciupaga — zbyrcy, rombie... Hala—owce, pies, juhasz, turnie... Tak sie mi zbacowało jedno po drugiem... Słowa i świat... Bo ja dawno nie słysał i nie widział... Dziewieńćdziesiąt roków... Haj...“

„Jak tam... u nas? Ja tu dziewieńćdziesiont roków gnił... W lochu... Jak tam... u nas?

Ja by tam na kolanach seł... Ziemie całował... Jaby na ziemi lóg, piersiami przywar... Ja by hań—wode widzieć kciał... Drzewa sumiom— jedle — smerki — lipy... Zwonki grajom... Gwary pełno... Sędyl ludzie — gadajom... Ja by na ziemi lezał, piersiami przywar... Ja by na kolanak hań seł... Ziemia cudowna... Świat...“

Albo taki np. Tomek Wierchowiec z Zaskala?

Z biedy „cisnął“ ziemię rodzinną, chałupę, „zapomniał“, bo dobrze mu się wiodło w świecie. I po latach czterdziestu dopiero, gdy był już zgrzybiałym starcem napadła go tęsknota bezmierna za „ojcowistym“, ludzimierskim cmentarzem:

„I wezmą mu się roztaczać przed oczyma; nowotarski bór, zaskalskie gaje, ludzimierskie torfowiska i kamieńce, rogoźnickie łąki. Weźmie mu się wić przed oczyma bystry, pełen zielonych głębin Rogoźnik, szumiący, wartki Dunajec, jasna Lepietnica z pod Lasku od Trutych, skąd żonę miał. Weźmie mu stawać przed oczyma stary, ludzimierski, drewniany kościół z dzwonnicą między lipami i stary ludzimierski drewniany dwór z murowanym spichlerzem, gdzie w piwnicy w sklepieniu hak był na wieszanie opryszków wbity. Wezmą mu się przypominać tamtejsze odpusty, na które ludzie z Orawy i od samych Myślenic przychodzili. I wezmą mu się przypominać maruszyńscy tancerze sławni, dziewki śpiewaczki z Gronia, lasy na Beskidzie po Kluczkach i Gorcu, dzieci, jak na świętego Mikołaja z brodami z konopi w długich kożuchach ojcowych chodziły, zjazd koło Gapkowej chałupy ku wodzie, olbrzymi jesion na Walosowych polach. I weźmie mu się przypominać matka i ojciec, rodzinna chałupa, żona i dzieci, rodzinna mowa i własna muzyka—i zapłakał.

I taka go tęsknota ogarnęła ku Polsce, że chciał woły rzucić i iść, ale było daleko...

Hej! by jom tyz hoć jak roz uwidzieć jesce, tę ziemeckę świętom!“

I jeszcze jeden typ.

Typ chłopa-górala—Chochołowskiego Bartka z noweli „Za śytko“, budzącego się z wiekowego otrętwienia w r. 46-ym.

A jednak przez wieki spała dusza górala i chociaż miłowała góry, nie ukochała jednej wspólnej Rodzicy-Macierzy, Polski, bo jej nie znała. Bo nie miał kto budzić poczucia narodowości w najszerszych masach ludowych przez wieki całe w samej Polsce, a cóż dopiero na Podhalu...

I tak rósł tam pod Tatrami tłum ludu, jak bór stary, odwieczny, nie szczepiony, nie pielęgnowany przez nikogo, wobec czego o patryotyźmie górali w ciągu długich wieków nie mogło być mowy, gdyż góry były im bliższą i świętszą kołyską, niż Polska.

Lud polski pod Tatrami obudzili dopiero ks. Kmietowicz i Andrusikiewicz, zaco należy się im chwała wiekopomna.

A ów przełom pojęć na Podhalu doskonale charakteryzuje następujący ustęp, gdy Franek kumuter każe Bartkowi iść bronić Polaków, a ten mu tak odpowiada:

„Wiéś ty, Franek, co? Kiebyś mie ty w Luptów, abo i do Polski ka pozywał ka na jakom karcyme, abo na jaki pański dwór, coby my haństela piniądze, a jeść i pić przinieśli, hoć to grzych, weru na mój sto prawdu joby s tobom seł! Bo kie Panbóg o mnie zabacył, to co jo mam o Nim pamiętać?! Syn, wiés, nostarsy, ten, co mi robić pomagał, ino, ino; baba lezy, przez mléka je, bo skąd, a tu to dwoje przy cyckak—a hańto troje ino place, bo sie mu jeść fce. Krowy w oborze niéma, świni w hlewie niéma—nie trza ci gadać, bo wiés. Ostatnio bieda na mnie! I jo ci haw mom kose brać i pod Gdów kajsi, cy pod Tornów iść!? Wieraześci! Powiédz mi tak: Bartek podź! Krew nam z pod obuhów jak woda śknie, caski łupać bedziemy, z brzuhów dobro wydremy, ale sie twoje dzieci najedzom—to pude! Ludziom wziąść, sobie dać—pude!“

„Był tu kie jaki pon z pod Gdowa, cy z pod Tornowa? Przinios mojemu synowi łyzke rosołu, mojej babie krapke mąki, moim dzieciom hleba? Jageś go widział, to powiedz!“

Ten sam jednak Bartek, kiedy obaczył ks. Kmietowicza, Andrusikiewicza, „bande całom“, chłopów z kosami, stał się inny, jak sam opowiada:

„Patrzem, patrzem, kie mie nie hyci drgowka! Zedrzałek telo, co cud, zmąciło sie mi w ocak. Kie mie cosi nie hyci za krztoń, za serce! Kie nie ryknie cosi we mnie, nie płac, ale tak, jak kiebyś wej krwiom płakał!“

Tyle też, że zostawił żonę chorą, dzieci głodne, miał on za to, że wysiedział na Szpilbergu, za dwoje dzieci i syna, co poszli pod ziemię, tyle miał—„za sytko“. Lecz sam wyznaje on potem: „Ale mi nie zol — co jek cuł wte, kiejek poprzed izbom stał, kiejek w izbie hipnon, to mi do końca zycia zapłaciło za sytko!“

* * *

W bohaterach swoich nowel i „Legendy Tatr“ odtworzył Tetmajer duszę i życie górali, a zwłaszcza tych „rysich i żbiczych“ natur, które już wyginęły i wymarły nazawsze. W utworach tych jednak zebrał on również i skrystalizował cały świat zwyczajów i obyczajów dawnego Podhala.

Mówiliśmy już o tem pobieżnie w części drugiej, ale jeszcze zostało nam nieco do powiedzenia.

Górale mają dotąd w swoich obyczajach wiele, co ze starych czasów zostało. A ten świat szeroko opisuje Tetmajer.

Jak w kalejdoskopie przewijają się przed naszemi oczyma pochody zbójeckie, pochody na hale, życie w szałasie, bitki karczemne, chrzciny, wesela, pogrzebiny... Tak np. jak w noweli „Jak wzieni Wojtka Chrońca“ ów do dziś dnia niestety tak dla Podhala charakterystyczny opis tańca i bitki w karczmie, lub te jeszcze charakterystyczniejsze chrzciny i pogrzebiny u Wojdyły.

Dziecka nie było, bo urodziło się nieżywe, ale pijatyka była po pogrzebie, bo była przygotowana...

Ta szeroko opisana scena jest naprawdę tragikomiczną, a w realiźmie swym odstraszająco prawdziwą. Pogrzebiny zmieniają się tu w istny rodzaj, jakiegoś rozpustnego weseliska, jak to bywało na Podhalu jeszcze do niedawna.

Tetmajer odtwarza te sceny realnie, więc jako epik odtwarza to, co rzeczywiście było, dając dowód wybornej znajomości ludu pod Tatrami, którego na ogół zbyt idealizować nie można, bo zaprawdę wiele jest wśród niego chwastów.

(C. d. n.)

JÓZEF KANTOR.

Pieśń ludowa Podhala.

(Ciąg dalszy).

(Z powodu jubileuszu Kazimierza Tetmajera).

Tu w więzieniu przypominał sobie zbójnik pierwsze swoje chwile, jak to został „dobrym chłopcem“, jak uczył się „przeskakować z bucka na jedlicke“, jak wybierał się z towarzyszami „na zbój“ przy miesiączku nocnym, i jakto zawsze prosił wtedy Boga, aby go wraz z towarzyszami nie wypuszczał ze swojej opieki— aż do powrotu z Liptowa:

„Ej dejze Boze, dejze, coby sie udało,
Coby my w Luptowie nie nabrali mało.“

Ale że nie każdemu zbójnikowi mogło się długo wieść dobrze, więc klnąc swój los w więzieniu, śpiewał:

„Jescek nic nie ukrád, jino dwa barańce,
Juz mie okowali w zelazne bugańce“

albo

„dopiero zbójował jino jeden rocek,
Juz mie kcom powiesić na zelazny hácek.“

Bywało jednak niekiedy, że całe lata żył sobie swobodnie, honornie, wesoło i górnie, a wtedy przypijał sobie węgierskie wino, a pojadłszy „niedźwiedziny“, śpiewał sobie tylko i gwizdał i tańczył w karczmach żydowskich lub w lasach, nie trapiąc się wcale, że go tam kiedyś znajdą i na jego „ręcucki recioski gotujom.,“ Przy takiej zabawie nie dość że się uweselił, utańczył i upił, ale i żyda ograbić potrafił. Więc gdy karczmarka tłuściutka „bockowała“ mu „do krzesanego“, Sabała ostrzegał ją w śpiewie, że tam w komorze Mateja gazduje na dobre:

„Tańcuj ze se, tańcuj, kacmarecko tłusta,
Na jutro, na rano kumorecka pusta“

jak znowu z drugiej strony, ten że sam Sabała ostrzegał także i Mateję, by ostrożnie obchodził się z pieniądzmi:

„Pinioski brzękajom, niek ze nie brzękajom,
Bo jak to usłysom, to nas pochytajom.“

A gdy z bogatym łupem, wrócili już zbójnicy i „turoski“ węgierskie kotlikiem przemierzyli, dzielili część między siebie, część zaś chowali w lesie, gdzieś między bukiem, a jaworem, oddając je w opiekę „ziemnemu duchowi.“

Gdy zima nadchodziła żałowali ich wszyscy:

„Na bucku, na bucku listecki bielejom,
Ka sie nasi horni chłopcy popodziejom?"

A oni popijali w zimie, pocieszając się, że kiedy zniknie „śnieżna skorupina — badzie baranina..." Więc nawet i w więzieniu spozierał zbójnik przez okienko „ciymne", czy się popod regle „bucki ozwijajom" i nieraz z tęsknoty za wolnością, minioną może bezpowrotnie", zapłakał, że go „ułapili jako ptaska w sieci" i że na jego „ocka słonko nie zaświeci"—bo trzeba mu będzie zginąć na szubienicy.

Ale nie długo zwykł się smucić zbójnik, bo zbójnicka to rzecz gardzić śmiercią i niebezpieczeństwem:

„Zbójować wesoło, choć nas bieda bije,
Cy umres, cy zginies, ciało w ziemi zgnije."

A gdyby tylko wiedział, na której ze szubienic ginąć mu wypadnie, dałby ją sobie przedtem bogato ustroić:

„Od wierchu do dołu"...
Z wierchu dukátami, z dołu talarkami,
A na środku śrybłym, bok jes chłopcem dobrym".

Nie zginie zresztą bez pamięci po sobie, bo wie, że go „załujom na całućkim świecie". A wreszcie nie był on zakałą rodziny, ale raczej honoru jej dodał, bo przecie śpiewali o nim towarzysze:

„Ucieście sie ludzie, macie zbója w rodzie,
Zbójnik pódzie w niebo, na samiućkim przodzie."

A chociaż:

„Matuśka prosili, coby nie zbójować," to przecie powiada on sobie:
„Kiebyk nie zbójował, ni miał byk im jeść dać."

I nie żałował on swego życia, bo od młodości cieszyły go „siekierecka i śrybelne łańcuski" a nawet „zbyrk łańcusków" na rękach i na nogach, gdy prowadzili go już na Orawski zamek—gdzie jednak „mistrzycek" nie zawsze obracał zbójnika na szubienicy „ockami ku drodze", która mu przypomniała przed śmiercią „zbójeckom chodze..."

. . . .

We wszystkich tych śpiewkach niewiele wprawdzie artyzmu wielkiego, ale znajdziemy go natomiast w pieśni, spisanej przez S. Goszczyńskiego. Pieśń ta — zakrawająca na rapsod—poprawiona pod względem językowym przez K. Tetmajera, brzmi jak następuje:

„Hancia moja podź du domu,
wydom ja cie nie wiem komu,
wydom ja cie Janickowi,
hej walnemu zbójnickowi:
Jano, Jano, tęgiś zbójnik,
wies po wirhak kozdy chodnik,
we dnie idzies, w nocy wrócis,
a mnie biednom tylko smucis.
Mos kosulke uznojonom,
a sablicku zakrwawionom.
Jano, Jano, kajeś ty był,
coś se sablicku zakrwawił?
Wyrubałek tu jedlicku,
co stojała w okienecku;
we dnie, w nocy hurkotała,
mnie smutnemu spać nie dała.
Przyniós ci jej husty prać,
a nie doł ik ozwijać,
ona prała, ozwijała,
prawu rucku nadybała.
W tej rucyce pięć palusków,
a na małym złoty piestrzeń...
W tym piestrzonku troje wrótka,
dyć to mego brata rućka,

niedługo sie obowała,
do matusie odsyłała,
matko moja przemilena,
cy mom bratów syćkik doma.
Curuś moja nie z jednego
z tych to siedmiu namłodsego...
Skoro wyseł rok półtora
nagodził jej Pon Bóg syna
„Lulaj buba, synu mój
nie bydź tak, jak ociec twój,
na kąski byk cie siekała,
orłom, krukom, ozsypała.
A on za smreckami słysy
i od złości cały dysy,
śpiewaj Hańciu jakś śpiewała,
kiedyś syna powijała
„lulaj buba, synu mój
byś był tak, jak ociec twój,
we winie byk cie kąpała,
a w jedwobie powijała.
Oblec Hancia drogom satke,
a pudziemy na przechadzke..
„Dwa roceckik s tobom zyła,
na przechadzki nie chodziła,
a wzion ci jom za rucycku
i zawiód jom do gaicku,
ocka corne jej wydłubał,
rącki białe jej odrubał.
Osplakał sie syn jej młody
nimóg ojcu on dać rady.
Wstanze Hańciu przemilena,
pudź, utul twojego syna,
a som poseł w skały, lasy
i nima go pote casy"...

. . . .

Piosnki wojeńskie, uboższe pod względem liczby, dają nam poznać wstręt do żołnierki – jeśli nie dzisiejszego pokolenia — to dawniejszych ludzi, zakochanych w swobodzie.

Służba wojskowa—długa, a choć tam niby wojakowi—śmiało, to jednak smutek nie opuszcza go nigdy. Bo przecie poniechać on musiał i dom rodzinny, i hale swoje, i „frajerkę", i ojca, i matkę, którzy „ciureckiem" płakali, gdy im syna do wojska zabrano. Więc przeklina on Nowy Targ, to miasto, które musieli chyba sami „djebli fundować"—bo zaledwie się tam „stawił", już go „odebrali" i włosy mu ostrzygli—pozłotawe...

A przeklina on także i sądeckie papiery:

„Bodej sie spaliły sądeckie papiery,
Coby ja nie sukał po świecie kwatery".

I jakoś nie może się pogodzić z tym swoim nowym, ciężkim do zniesienia stanem, bo śpiewa:

„Syćko se pozieram napośród Giewontu,
Nie mogem obrócić głowicki do frontu."

albo:

„Chowałaś mie matko, jak pszenicne ziarno.
Teraześ mie dała cysarzowi darmo"

A gdy dziewczyna sama mu już konia osiodłała, żeby go mogła poznać między regimentem, bo tam „wiadomo, że sytka jednaci"... i gdy zrozpaczony ojciec woła nań: „Wróć sie synu, wróć sie, bo já cie wychował." on odpowiada:

„Choćby się tatusiu talary tulały,
To sie moje nózki nie bedom wracały."

(C. d. n.).

STANISŁAW CIESZKOWSKI.

Dwudziestopięciolecie poety.

(Z powodu jubileuszu Kazimierza Laskowskiego.)

(Dokończenie).

Kazimierz Laskowski, powszechnie znany pod pseudonimem El, urodził się w 1861. r. we wsi Tokarnia w jędrzejowskiem, w rodzinie ziemiańskiej, tradycyjnie przywiązanej do ziemi ojczystej. Lata dziecinne i młodość spędził na wsi w tej klasycznej ziemi krakowskiej, która wydała „Bartoszów Głowackich", wśród której leżą Racławice i na której jedynie mogła przyoblec się w rzeczywistość wielka idea kościuszkowska!

Laskowski od dzieciństwa swego wsłuchiwał się w żywe tętno tej prastarej, pełnej pamiątek narodowych, ziemicy polskiej, wpatrzony w piękne i dziarskie typy ludu krakowskiego. Wszystko to mówiło do duszy dziecka o wielkiem umiłowaniu ziemi rodzinnej, o tych bogatych, złotokłośnych łanach polskich, o braterstwie synów jednej ziemi, o dawnej, minionej świetności narodu naszego i o nadziei lepszej przyszłości!

Ukochał też Laskowski nadewszystko wieś polską i lud wiejski, rozumie go, wyczuwa jego duszę, zna jego potrzeby, zna i wady jego, ale te ostatnie są według poety tak nieznaczne, że o nich nie widzi potrzeby rozwodzić się. Laskowski widzi jeno jasne, dobre strony ludu wiejskiego, tak samo jak Włodzimierz Tetmajer widzi jedynie *bajecznie kolorowe* chusty i spódnice swoich kraśnych krakowianek.

Laskowski i Tetmajer dopełniają się wzajemnie, pierwszy słowem, drugi pędzlem odtwarzają ten lud wiejski, który obaj wyśmienicie znają, a co ważniejsza kochają i rozumieją. Obaj oni w bajecznie kolorowych barwach widzą ten świat Bartków, Maćków i Kachen, z niego czerpią swe natchnienia, a właściwie świat ten daje im natchnienie do tworzenia pięknych, silnych i zdrowych moralnie obrazów życia jego.

Laskowski ma szaloną łatwość wierszowania, jak może żaden inny z poetów naszych doby dzisiejszej, lecz jest on w żywiole swoim dopiero wtedy, gdy z serca swego wysnuwa pieśń ludową, wtedy sięga on niemal szczytów doskonałości. W tych pieśniach, piosenkach, gawędach przebija się po przez wszystko ta prawda, ta miłość ludu, to uczucie niekłamane, które u innych poetów ludowych są naciągnięte, robione. Laskowski prawdopodobnie sam nawet nie wie w jakim stopniu jest on szczerym, gdy wyśpiewuje swoje skoczne oberki, wyrwasy, mazurki i różne inne przyśpiewki.

W jego piosenkach ludowych – jest prawdziwy lud wieśniaczy ze swoją rodziną, bezwiedną, a tak potężną poezją, okraszoną wielką, nieraz nawet do zbrodni wiodącą, miłością zagona ojczystego; w jego piosenkach ludowych — jest ta prawdziwa ziemia nasza, biedna, znękana pod szarem niebem, a jednak tak bardzo ukochana przez wszystkich jej synów, a najbardziej przez tych... siermiężnych!

W jego piosenkach ludowych przemawia nie jakiś tam fantastyczny, papierowy lud, poprzebierany jak na maskaradę w sukmany i gorseciki z kraśnemi wstążkami, lecz żywy, prawdziwy, tchnący sercem gorącem lud polski.

Największą zasługą Laskowskiego jest i będzie, że dał nam w swych utworach naszego chłopa, takim jakim on jest w rzeczywistości. On go nie idealizuje, jak to czynili i czynią jedni, ani go nie obdziera z nimbu jego prostoty duszy cnót rodzinnych, jak to czynią drudzy. Laskowski, że się tak wyrażę, wciela się w psyche naszego ludu i w tej duchowej postaci snuje z pod gorącego serca swego tysiące promiennych, jak ton przezroczna, piosenek, stając się niejako Homerem polskiego ludu wiejskiego. To nie Laskowski, to lud polski śpiewa przez jego usta te cudne piosenki. To jest zasługą Laskowskiego i to jedno już wystarczy, aby zajął w poezji naszej poczesne miejsce, tembardziej że pod tym względem była w twórczości poetycznej polskiej luka, szczęśliwym trafem tak świetnie, tak godnie zapełniona przez Laskowskiego.

Na lutni swej Laskowski posiada jeszcze jedną złotą strunę, a jest nią wielkie umiłowanie przeszłości naszej, dawnej świetności, nasze boje rycerskie, szlachetne walki za naszą i obcą wolność, a dalej nasze klęski, cierpienia, otoczone aureolą męczeńskich bohaterstw, jednem słowem to wszystko „co boli" odzywa się zawsze głośnem i serdecznem echem w duszy poety, a wtedy Laskowski ze łzą w męskiem oku, z iskrą jednak nadziei w sercu, z wiarą w lepszą przyszłość przecudnie opowiada, jak to kiedyś bywało pod Kircholmem lub Cecorą, pod Samossierą lub Grochowem!

Laskowski nie stworzył dotychczas i prawdopodobnie już nie stworzy żadnego eposu, żadnego utworu poetycznego, zakrojonego na szerszą skalę. Rzuca on nieustannie drobnostki, z tych drobnostek coprawda utworzyć by można wielkie, kilkotomowe dzieło, ale bądź, co bądź są to drobnostki, niektóre z nich to istne perełki, inne to dobra, sumienna robota, a są i takie, które lepiej gdyby nie ujrzały nigdy „Kaszty zecerskiej". Ale cóż robić? Jak już powiedziałem wyżej, często poeci z Bożej łaski muszą chwilami stawać się zawodowcami i „tworzyć" na obstalunek. Smutne to, ale niestety aż nadto prawdziwe!

Zarzucić można Laskowskiemu jeszcze jedno, mianowicie że w utworach swoich uwzględnia tylko: polski lud i szlachtę. Inne stany, inni ludzie, jakby nie istnieli dla niego, lub nie byli godnymi jego uwagi. Ale zarzut to dość ślizki, poecie bowiem nie wolno narzucać przekonań, natchnienie samo winno go prowadzić w zaczarowane bramy... Parnasu.

WITOŁD BUNIKIEWICZ.

Przegląd wyobrażeń estetycznych u progu rokoka.

Sztuka jest naśladownictwem idei boskich, bo rzeczą historyi jest nauczać, filozofii oświecać, a zadaniem malarstwa jest stwarzać po raz drugi, a co dziwne bardziej, z niczego robić coś, naśladując Mistrza wszechrzeczy.

Tak pisał Sieur le Blond de la Tour *), bo miał uwielbienie dla sztuki i dla króla, który ją stworzył.

*) Lettre du Sieur Le Blond de la Tour a un de ses amis contenant quelques instructions touchant la peinture: Bordeaux 1669.

A historya uczyła o zwycięstwach Ludwika XIV., poezja opiewała jego chwałę, filozofowie poświęcali mu dzieła; malarstwo zaś po raz drugi wywoływało owe zjawy pamiętnych zwycięstw.

Król robił historyę, a malarze szli w ślad za obozami jego wojsk, to pod niebo hiszpańskie, to na holenderskie równie; król walczył i zwyciężał, król łakomym był sławy u potomności, król cenił tylko malarsto historyczne, bo mu przypominało dnie chwalby i głosiło wielkość oręża, którym zasłynął Aleksander Wielki i On, Ludwik XIV.

Ale król założył Akademię w Paryżu, malarzy wysyłał do Włoch i w Rzymie wybudował im szkołę, przeznaczał nagrody i pensye, rozdawał tytuły i przywileje; nie cofał się przed żadnym wydatkiem byle przyozdobić galerye wersalskie, byle uświetnić Louvre, byle wsławić imie swoje, synonim Państwa Całego.

A gdy w sierpniową niedzielę 1715. roku umarł Król-Słońce i ciało złożono w St. Denis, a sześciu ojców Jezuitów spieszyło pochować jego serce w swoim konwencie, wtedy z trwogą spostrzeżono, że z dzieł królewskich nie zostało nic prócz ćmy dworaków, prócz kasy pustej i rozdrażnionych sąsiadów [1]).

Arystokracya żyła życiem dworu niegdyś czynna i mężna, stała się ozdobą salonów i przedmiotem zbytku [2]), ale pośród owej atmosfery, przesyconej zapachem róż i szminki, wiał duch nowy, strzelały rakiety słów zdobnych, kołysały się ukłony wytworne i dowcip i pustota i satyra i zmysły.

W lutym 1690 roku zmarł Charles le Brun [3]), pierwszy malarz królewski i długoletni dyrektor akademii w Paryżu; a wraz z nim zeszła do grobu cała wielka sztuka Ludwika XIV. i zostawiając po sobie ledwie wspomnienie czegoś, co było szlachetnem, ale co zgoła już nie potrafiło rozpalić serca nieżyjącego.

Ale Le Brun wniósł w nowy wiek hasła, rutynę, uczoność, podniósł rzemiosło malarskie do rzędu nauk ścisłych, oparł się o tradycye starożytne, podziwiał Gwida Reniego i Carraccia „z powodu wdzięku jaki zrealizowali w swych dziełach“ [4]). Szanował poprawność rysunku i kompozycyi, dbał o „wdzięczny wyraz twarzy i o przyjemną barwę“. Uwielbiał starożytnych, którzy—jak mawiał – mieli nad nami ową przewagę, że ziemia ich wydawała ludzi lepiej zbudowanych, niż współcześni, a co za tem idzie malarze znachodzili doskonalsze modele [5]).

Ów le Brun, który malował Ludwika XIV. w złotej zbroi jako bohatera starożytnego, a dla dworskiej galanteryi przyodział Króla-Słońce w modną perukę, zakończył swoją działalnością wiek hymnów, śpiewanych na cześć „le plus jeune et le plus grand des rois“.

O wieku XVIII., „dziecku, zrodzonem bez ojca“, zadecydował długi spór, ciągnący się lat dziesiątki, bo od Descarta, który nauczył pogardzać starożytnymi. Myśli Descarta i Pascala, że świat starożytny jest dzieciństwem ludzkości [6]), przedostały się powrotną falą do końca XVII. wieku, by rozpocząć spór gwałtowny i namiętny [7]). Wynikiem jego były czasy galanteryi od Regenta Filipa Orleańskiego, przez całe panowanie Ludwika XV. aż do odkrycia Herkulanum i Pompei i do pierwszych występów Dawida pod godłem heleńskiem.

[1]) I. Michelet: Histoire de France, tom XV.
[2]) L'Homme et son image par Ch. Moreau—Vauthier.
[3]) Le Brun et les arts sons Lonis XIV par Jouin.
[4]) Andre Fontaine: Les doctrines d'art en France.
[5]) Le Brun et les arts sons Lonis XIV par Jouin.
[6]) Baillet: Vie des Descartes VIII tom i Pascal: Pensée.
[7]) Histoire de la Querelle des anciens et des modernes par H. Rigault. Paris 1859.

Swiat dzisiaj jest starszy niż wtedy gdy Homer śpiewał pogodną Jlias, a starożytni, to ludzie bez doświadczeń i tradycyi—więc jakżeż mogą się mierzyć z nami, cośmy tyle lat później przyszli na świat.

Piękno jest zawsze to samo, źródła tylko jego się zmieniają, albo raczej są dwa rodzaje piękna, nauczał Perrault, szampion nowej sztuki. Piękno absolutne, które podoba się wszystkim i wszędzie, po wszystkie czasy, a drugie piękno jest osobiste, zależnie od duchowej organizacyi jednostki — podobnie jak owa kobieta dla tego piękna, dla tamtego szkarada.

Więc i Perraultowi wydają się zdrowe, greckie chłopy z Homera za nadto rubaszni, a bogi olimpijskie zgoła już obrzydliwe [1]).

Jak La Motte powiada: „Homera musiałem upiększyć, gdyż bogowie jego, są śmieszni, bohaterowie zarażeni butą i pychą, a królowie niegodziwie chciwi“ [2]) więc

„L'on peut comparer sans crainte d'être injuste,
Le siècle de Louis, au beau siècle d'Auguste“ [3]).

Trzy właściwości składają się na malarstwo [4]), a każda z nich odpowiednio działa na człowieka. Dobry rysunek i kolor—na oczy, ruch i wyraz idzie wprost do serca, a cień i światło, rozumnie rozłożone, zadawalniają rozum.

My znamy tajemnice światłocienia, a z twarzy potrafimy wydobyć wszystkie kolory, starożytni tego nie znali.

Descartes pierwszy zlekceważył starożytność, a Malebranche, jeden z największych uczniów Descarta, nazywał Platona i Arystotelesa marzycielami, a Homera barbarzyńcą.

Kardynał Wiseman, odmawiał starożytnym zrozumienia natury. Spencer, Milton, Shakspeare lepiej ją bowiem zrozumieli, niż najlepsi poeci starożytni.

Fontenelle, wychowanek Jezuitów, który na szkolnej ławie składał wiersze łacińskie równie dobrze jak Wirgiliusz [5]), nie waha się powiedzieć, w „Dialogues des Morts“, że w naszych oczach starożytni są dlatego tak wielcy, bo oddziela nas od nich wiele wieków, czas ich wyogromnił, a dzisiaj tylko podnosi się ich zasługi, bo chce się obniżyć przez to współczesnych.“

Rozmowy zmarłych Fontenella pojawiły się między rokiem 1682-im a 1684-ym.

„Owe drobne, zuchwałe słówka o sprawach moralnych“ jak nazywa Fryd. Nietsche w „Wiedzy Radosnej“ dyalogi Fontenella, zaważyły jednak nie mało na współczesnej umysłowości francuskiej. Kędyś, w jakimś czwartym wymiarze, schodzą się dostojni zmarli, jak Aleksander Wielki, Homer, Ezop, Safo, Aretino, Montaigne, Sokrates, Karol V., Erazm z Rotterdamu i t. d., by rozważać pewne kwestye w formie lotnej pogawędki. Mówią o wszystkiem potrosze, o sławie, miłości, pochwałach, o kobietach, ich powabie i władzy. Teokryt stara się przekonać, że rozum na nic, bo zamyślenia smutek tylko sprowadzają. A piękna grecka Fryne nie wacha się powiedzieć, że piękność ma wrodzone prawo rządzenia światem— a jeno władza nabyła je gwałtem i siłą.

Bo co jest lepsze—rozum, cnota, czy piękność—? (C. d. n.).

---

[1]) Perrault: Paralèlle des anciens et des modernes en ce qui regarde les arts et les sciences. Paris 1698.
[2]) La Motte: Wstęp do Iliady.
[3]) Perrault: Siécle Louis le Grand.
[4]) Perrault: Paralélle des anciens et des modernes.
Wiseman: Sur l'amour de la nature chez les anciens et des modernes.
[5]) H. Rigault: Histoire de la Querelle des anciens et des modernes.

BEZ KOMENTARZY.

W numerze 25-ym „*Kurjera Warszawskiego*“ z b. r. — o nowej sekcie wizjonerów marjawickich—pisze: **Korespondent z Łodzi**:

Strona 4.—łam 1. wiersz 21-y od góry:

„Podczas nabożeństw zatopionym w modlitwie ukazują się wizje: trójca, złożona z duchownych marjawickich: duchownego Gołębiowskiego, biskupa Kowalskiego i Próchniewskiego. Osoby te ukazują się razem, albo pojedyńczo, zawsze otoczone glorją. Również często w glorji ukazuje się mateczka Kozłowska.“

Wiersz 15-y—niżej:

„Doszli oni do przekonania, że idea ich zatryumfuje w całej pełni, gdy biskup Kowalski będzie ukrzyżowany i zmartwychwstanie. Poczęto udawać się do biskupa Kowalskiego z prośbami, aby pozwolił się ukrzyżować, od kilku dni zaś czyniono na niego formalne obławy. którym zdołał szczęśliwie ujść. Ale nocy wczorajszej“

Wiersz 5-y—niżej:

„sfanatyzowany tłum rzucił się na biskupa Kowalskiego i chciał go ukrzyżować. Widząc niebezpieczeństwo, a nie mogąc obronić biskupa, duchowni marjawici zawiadomili policję, która w wielkiej liczbie wkroczyła na podwórze kościelne i rozbroiła walczących. Energiczna akcja przywróciła porządek i ocaliła biskupa Kowalskiego, przyczem aresztowano kilkanaście osób, które odprowadzono do cyrkułu.“

W najnowszej swej książce, wydanej jako **„Zarys wiedzy jedności“** p. t. „*Magia piękności*“—pisze **Józef Jankowski**:

Strona 7.—wiersz 14-y od góry:

„pomiędzy twem ciałem widzialnem i myślą rozumną niewidzialną, ciała naczelną kierowniczką, istnieje pewne ciało pośrednie, ciało lotne, różnie przez różnych zwane: ciałem astralnem, subtelnem, fluidycznem, aerosomą, odem, światłem astralnem i t. d., w rzadkich wypadkach widzialne, mianowicie gdy wyłonione z ciała *zmaterjalizuje się*, t. j. przybierze dostatecznie zwartą dla oka substancyę,“

Strona 11.—wiersz 8-y od dołu:

„Kilku badaczom udało się ostatniemi czasy wyłonić (drogą magnetyzmu) z ciała osób, wyjątkowo ku temu skłonnych, owo ciało astralne, które przybrało postać *widma* czy *sobowtóru* i odbiło się na płycie fotograficznej. Własność *widma*, złączonego cienkiem pasmem astralnem z uśpioną osobą czyli *medium*, pozostającem jakby bez *duszy* (wrazie zerwania pasma medium umiera), jest ta, że przenosi ono otrzymywane wrażenie na samo medium uśpione, nawet ze znacznej odległości.“

„Tak np., osoba uśpiona nie czuje zapachu bezpośrednio; dopiero zapach ten, podany widmu, przeniesie się, jak przez aparat najczulszy, ciału fizycznemu; uderzone widmo przeniesie cios na swe ciało fizyczne; ukłóte widmo ślad ukłócia przeniesie na ciało medium i t. d.“

Strona 16.—wiersz 9-y od dołu:

„częsty gniew wypacza wątrobę, bierność woli tworzy anemię, niedbalstwo w oddechu *duchowym*—suchoty, stały popęd pasyi zmysłowej—raka i t. d.“

Strona 23.—wiersz 6-y od dołu:

„Wyobraź sobie dobrze cerę, jaką mieć pragniesz, cerę *koloru płatka różanego.* Obacz ją w swej wyobraźni jasno, wyraźnie, najwyraźniej. Stwórz ją. Przykuj do niej uwagę swej myśli, zatrzymaj wolą — przez kilka chwil tylko; gdy to uczynisz, jużeś tę cerę stworzyła w tym materyale, w którym się ciało twe odbije, jużeś zarządziła kliszę, z której się obraz odbije.“

„Powtarzaj tę czynność powoływania obrazu i zatrzymywania na nim uwagi po parę minut kilkakrotnie w ciągu dnia—po miesiącu dostrzeżesz rezultaty. O powodzeniu, oczywiście, jak we wszystkiem, stanowić ma wytrwałość i dobra robota.“

Strona 43.—wiersz 11-y, 4-y i 2-gi od dołu:

„Tak zwany *splot słoneczny* (*plexus solaris*).“

„położony w okolicy otrzewnej (epigastrycznej) z dwu stron kolumny, naprzeciw *pępka brzusznego.* Składa się

z białej i szarej materyi, podobnej do materyi mózgowia. Czuwa nad organami wewnętrznemi i jest wielkim śpichlerzem owej *siły nerwowej*, *prany*, *duszy.* Ztąd silnem dmuchaniem na ten *plexus* można zabić człowieka, o czem wiedzą zapaśnicy zawodowi. Hinduscy *joginowie*, czyli ludzie, sprawujący *jogę*, umieją nagromadzać do niego świadomie zapas *prany* i nią kierować, tak, że przedostając się potem poprzez specyalny kanał rdzenia pacierzowego, nieznany fizyologom Zachodu, i docierając do mózgu, obudza tam własności nadprzyrodzone: jasnowidztwa, zdolności zawieszania życia i t. d.“

Strona 56.—wiersz 1-y od dołu:

„Wola twórcza jest w stanie“

Strona 57.—wiersz 8-y od góry:

„uzdrawiać siebie i innych—zblizka i na odległość;
rzutować myśli i przenosić je na odległość do osób mniej lub więcej współczulnych;
tworzyć dla siebie natychmiastową osłonę, rodzaj pancerza subtelnego, którego wibracya obca, szkodliwa, nie przedrze:
przelewać władzę twórczą na innych,“
„wchodzić w bliższe lub dalsze obcowanie ze światem niewidzialnym.“

Strona 57.—wiersz 6-y od dołu:

„Wszystkie te fenomeny sprawują się, mniej więcej, drogą tej zasadniczej reguły: siedzieć lub stać prosto, lub leżeć na wznak, w stanie uciszenia zupełnego duszy, oddychać oddechem zupełnym, doskonale rytmtcznym, i jednocześnie kierować *pranę* drogą *obrazu* do celów zamierzonych. Wola kierująca ma być stałą, pewną, spokojną.“

Strona 76.—wiersz 4-y od dołu:

„wszelkie kamienie wątrobowe, żółciowe, formują się stopniowo w owym materyale lotnym *duszy*, są jakoby kamieniejącą stałą *pasyą* duszy, która się *tuż za tem* odlewa w swój kształt widomy.“

Strona 77.—wiersz 8-y od góry:

„tak władną jest moc woli i ton zasadniczy jedności, iż mocno wszczepiony w *duszę*, t. j. odmieniający stałą *pasyę* i przywracający ład gdzie skłócenie, jest w stanie, po pewnym czasie, niwecząc w *formie* duszy dalsze tworzenie się tych kamieni, tak oddziałać swym ruchem na kamienie materyalne, że je zniszczy, zmiażdży i z ciała bez śladu usunie.“

Strona 78.—wiersz 4-y od dołu:

„Tak oto wiedza arabska leczy rany: opatruje odpowiedniemi balsamami ostrze, które zadało ranę, a na którą w chwili zranienia przeszedł subtelny prąd astralny, ranę zaś pozostawia odłogiem. Leczenie ostrza przenosi w *odbiciu*, t. zw. dziś u nas *reperkusyi*, po nici tajemnej astralnej swój wpływ ciału i ranę

zagaja. Na tej zasadzie *reperkusyi*, stwierdzonej w ostatnich czasach licznemi doświadczeniami naukowemi, opiera się całe czarownictwo, złe uroki i t. d., które tyle stosów w wiekach średnich, gdy trwała owa wielka *dyspozycya* do wyłaniania z siebie tego ciała lotnego, rozniecily—lub raczej, które sama owa *dyspozycya* w swej *reperkusyi* rozniecila."

Strona 82.—wiersz 4-y od góry:

„wiara wszędy uzdrawia,—tylko, że w allopatyi, iż przy najmniejszej tej dyspozycyi w akcie—najmniej skutecznie, w homopatyi—bardziej skutecznie, w leczeniu się woli—w pełni i istotnie, tam ona bowiem jedności jest *dyspozycyą w mocy*."

Strona 84.—wiersz 1-y od góry:

„Leczenie dośrodkowe choroby przez ciało jest *złem koniecznem*— rezultatem upadku woli ludzkiej i jej deską ratunkową obłędną na fali wciąż chłonącej."

Strona 84.—wiersz 3-ci od dołu:

„Wszystkie choroby są do uzdrowienia — bowiem wola ludzka jest absolutna i *nigdy nie może nie chcieć*."

Strona 86.—wiersz 16-y od dołu:

„Leżąc na wznak spokojnie i oddychając zupełnie świeżem powietrzem (przy otwartem oknie), *wyobrażaj i kieruj myślą* skupioną prąd, nagromadzony w *plexus solaris*, ku częściom bolącym. Po kilku minutach, gdy dobrze to czynić będziesz, uczujesz rozgrzanie tej części ciała, ulgę lub bólu zniknięcie. W razie bólów silniejszych kładź dłoń na miejscu bolącem i tak samo kieruj *obrazem* i *skupieniem prang* przez rękę do miejsca bolącego."

Strona 90.—wiersz 10-y od góry:

„Radość, co *unosi*, to chwile, w nicość strącane."

Strona 91.—wiersz 11-y od dołu:

„Modlitwę zmów z głębi skupioną,
gorącą, serdeczną, wezbraną.
Przez kilka chwil utoń zupełnie
w bezmiernej wszechducha otchłani"

Strona 97.—wiersz 18-y od góry:

„Nie irytuj się i nie upadaj na duchu, gdy włosy ci wypadają.
„Wyczesz dobrze te, które wypadają: Niech co słabe, jaknajprędzej ustąpi. Skrop dosyć suto głowę przy skórze wodą chinową lub roślinną (z dobrej fabryki) i zastosuj dość silny masaż (przez wciskanie) palcami obu rąk na całej powierzchni pod włosami, dopóki nie uczujesz rozgrzania skóry i podsychania włosów. To atoli nie wszystko. Co najważniejsze i bezpośrednio nawet pomocne—to spokój zupełny ducha, pewna koncentracya i *wyobrażenie swoich włosów* przy wciskaniu palcami w stanie bujnym i trwałym, jakie byś je mieć pożądała. Po kilku razach tej praktyki *obrazu* (masować nie częściej, jak 2 razy na tydzień), gdy rzecz dbale wykonasz, możesz być pewną najlepszego skutku."

Strona 101.—wiersz 10-y od góry:

„człowiek jest tym głębokim oceanem, który *nie chce*, i dlatego staje się bardzo płytkim stawem "

Strona 113.—wiersz 2-gi od dołu:

„Cóż jest w człowieku, owej formie bytu zasadniczej, widzialnem? Materya sama. Dusza i duch—niewidzialne."

Strona 118.—wiersz 3-ci od dołu:

„Ale z owoców drzewa wiadomości złego i dobrego, które jest pośród sadu, Edenu—rzekł Bóg — nie będziesz jadł, ani się go dotykał — albowiem dnia którego jeść będziesz z niego, śmiercią umrzesz."

Strona 123.—wiersz 10-y od góry:

„Bo nie tknąć z drzewa—to prawo jedności."

WZMIANKI KRONIKARSKIE.

× (*J. Krob.*) Znakomity aktor naszej sceny, p. **Kazimierz Kamiński**, nie uznaje, jak wiadomo, żadnego autorytetu, ani nie znosi żadnej nad sobą władzy kontrolującej, któraby mu niejeden eksperyment życzliwie wyperswadować mogła... Jest wirtuozem koronkowej gry—gry na krosnach swego talentu *bardzo specyficznego* i głosu o niewielkiej skali, a wybrał sobie na jubileuszowy popis tytułową rolę w sztuce Bernarda Shaw: „Uczeń szatana"... Z postaci rycerza stepów dziewiczej Ameryki, który, rzucony na tło spleśniałych w rutynie praw i pojęć społecznych, uosabiać miał zdrowy, naturalny popęd instyktów i czynów, znowu wycackał nam p. Kamiński jakiegoś analizującego modernisia, którego nikt nie rozumiał, dlaczego idzie pod stryczek, i znowu pokazał nam jakąś lalę mizdrzącą się i ubraną, jak do operetki, jakiegoś pajacyka—jak inne, które umiemy na pamięć z grymasem ust kokietującego „Wujaszka" i z palmą rąk u szyi, jakby wstydliwych z powodu negliżu... cowboy'a. Stało się zatem, że p. Kamiński nietylko sam się „położył" w tej roli, ale z całą pompą jubileuszową urządził on „pogrzeb pierwszej klasy" także i tej źle zrobionej sztuce, która bądź-co-bądź jest jednak koncepcją zajmującą, dowcipną i oryginalną na tyle, że dobra gra aktorów bezwarunkowo poprawić ją mogła i powinna.

× (*J. Krob.*) Prawdziwie elektryzującem zjawiskiem na naszej scenie jest niemal każdy występ p. **Wysockiej** z Krakowa. Zwłaszcza godne jest obszerniejszego studjum jej współtwórcze, a zwycięskie stanowisko na przepastnych a sztucznych wyżynach „Elektry" Hoffmansthala, tego—jak słusznie powiadają—„fabrykanta kwiatów z jedwabiu", dodam: *cudzego*, którym p. Wysocka umiała jednak nadać woń swoistą i żywą. Mniej pomyślnie wypadły natomiast pierwsze występy p. Wysockiej. Rolę „Młynarki" z „Zaczarowanego Koła" mąciła monotonia przesady i wysiłku, w Słowackim—brak stylu, zastąpiony jakąś nonszalancją nad miarę swobodną i nie na miejscu, w roli „Jewdochy"—zbyt częste uciekanie się do jęku płaczliwego, którego wogóle powinna się p. Wysocka usilnie wystrzegać, jako wady i brzydkiego nałogu. Prawdziwy głębszy artyzm gry p. Wysockiej znowu zatryumfował wreszcie w dwóch ostatnich fazach klątewnego przeobrażania się „Młodej" w gienialnym tworze Wyspiańskiego. O p. Wysockiej mamy nadzieję pisywać w przyszłości obszerniej i częściej, gdyż scena nasza, poznawszy ją, nie da się chyba uprzedzić w należytej ocenie jej wybitnego talentu.

WZMIANKI BIBLIOGRAFICZNE.

× Otrzymaliśmy następujące książki:

Marya Konopnicka.—„*Pan Balcer w Brazylii*.—Wydanie nowe w nniejszym formacie.—Siódmy tysiąc—Warszawa.—Nakład Gebethnera i Wolffa. — Kraków: G. Gebethner i S-ka.—Stron 460.

William Shakespeare.—„*Dzieła dramatyczne*"—Tom I. z portretem Shakespeara i trzema ilustracjami tytułowemi:—Treść: „Życie, twórczość i sława Shakespeara" przez R. Dyboskiego, „Burza" w przekładzie L. Ulricha, „Dwaj panowie z Werony" w przekładzie St. Koźmiana, „Figle kobiet" w przekładzie L. Ulricha). — Warszawa. — Nnakład Gebethnera i Wolffa. — Kraków: G. Gebethner i S-ka.—Stron 319.

Wiktor Gomulicki. — „*Grandmuszkieter*". — Powieść historyczna z czasów Augusta Mocnego.—Nakład Gebethnera i Wolffa.—Kraków: G. Gebethner i S-ka — Stron 206 Cena: 1 rb.

Kazimierz Przerwa-Tetmajer. — „*Romans panny Opolskiej z panem Główniakiem*" Anegdota.—Warszawa 1912.—Nakład Gebethnera i Wolffa. — Kraków: G. Gebethner i S-ka.—Stron 303—Cena: 1 rb. 80 kop.

Wincenty Kosiakiewicz.—„*Powrót z za świata*" — Warszawa 1912. — Nakład Tow. Akc. Wydawniczego „Świat".—Skład główny w księgarni E. Wende i S-ka.—Stron 156

(C. d. n.).

W NAWIASIE.

GRZECH.

Jeszcze noc cicha ponad wioską biedną
Gwiazd nie stopiła w bezbarwny świt szary,
Jeszcze śpią lasy, łąki i moczary,
Choć już od wschodu pierwsze gwiazdy
[bledną...

I choć już w gąszczu ślepnie puhacz stary,
A wiejska psiarnia drzemie już znużona;
Choć wszystko nocne razem z nocą kona,
Jeszcze się dzienne nie obudzą gwary...

I zanim mroki wypełzną z ukrycia,
Wpierw sąd nad niemi będzie uczyniony
Na ono mgnienie pograniczne życia,

Kędy się jawi chwila rozgrzeszenia
Za ów najcięższy, we śnie utajony,
Wieczyście czujny — żywy grzech istnienia!

Józef Krobicki.

CZŁOWIEK.

Spalony żarem łez niewypłakanych
Idzie przez życie dźwigający brzemię
Tam gdzie go wiedzie płonny cel udręki,
Tam gdzie go wiedzie ócz jego ślepota...

Ciężarem kajdan u swych nóg spętanych
Coraz-to ciężej uderza o ziemię,
Jakby zagłuszyć chciał tłumione jęki
Swej piersi, pełnej przydrożnego błota...

Aż oto cudem ze spiekoty onej
Rodzi się zemsta i gromem błyskawic
Wzrok mu rozjaśnia, z nóg zrzuca okowy
I hańbę jego topi w ogniu burzy...

I wnet do duszy jego ukojonej
Taka moc spływa z po za parnych mgła-
[wic,
Że każdy zachwyt jest mu wtedy nowy...
I dla tej chwili znów chce cierpieć
[dłużej!

Józef Krobicki.



Wydawca: Józef Krobicki, ul Marszałkowska 125. Redaktor odpowiedzialny: Piotr Ambroziewicz.

Druk Piotra Ambroziewicza, Warszawa, Jasna 8.